Wakacyjny wyjazd w Tatry wszelakie

1–8 sierpnia 2026

Osiem dni w górach ze SKALNIKIEM minęło jak z bicza strzelił! Dopiero co pakowaliśmy plecaki i ruszaliśmy na słowacką stronę Karpat, a już trzeba było wracać do domu. Zostały zdjęcia, wspomnienia, zmęczone nogi i apetyt na kolejne górskie przygody. Bo przecież wiadomo – kto raz złapie bakcyla wędrowania, ten prędzej czy później znowu zaczyna przeglądać mapy. A jeśli ktoś twierdzi, że po tygodniu chodzenia po górach marzy już tylko o odpoczynku, to prawdopodobnie jeszcze nie zdążył wrócić do domu!

Naszą bazą był Penzión pod Barancom w Smrečanach, pięknie położony wśród górskich krajobrazów Liptowa, niedaleko Doliny Żarskiej. Życzliwi gospodarze, przyjazna atmosfera i pyszne jedzonko sprawiały, że po całym dniu na szlaku z przyjemnością wracaliśmy do naszego wakacyjnego domu. A że każdy dzień przynosił nowe wyzwania, dobrze było wieczorem odpocząć, posilić się i przygotować na kolejną porcję górskich wrażeń. W końcu plecak można spakować raz, ale energię do zdobywania kolejnych szczytów trzeba regularnie uzupełniać!

Plan mieliśmy ambitny: zdobyć Wielką Trójkę, czyli najwyższe szczyty trzech pasm – Bystrą w Tatrach Zachodnich, Rysy w Tatrach Wysokich oraz Dziumbier (Ďumbier) w Niżnych Tatrach. Oprócz tego czekały na nas mniej oczywiste szlaki, skalne okno, jaskinia, wąwozy, zamkowe ruiny i termalne źródła. Jak zwykle przygotowaliśmy kilka wariantów tras: dla miłośników długich wędrówek, tych preferujących krótsze spacery i tych, którzy woleli odpocząć lub zorganizować sobie dzień według własnego pomysłu. W SKALNIKU każdy może znaleźć coś dla siebie, bo najważniejsze jest wspólne spędzanie czasu, a nie wyścig o największą liczbę kilometrów. Chociaż, patrząc na niektórych uczestników, można by pomyśleć, że w regulaminie wyjazdu ukryto nagrodę za zdobycie największej liczby szczytów!

Pogoda miała jednak własne plany, więc nieraz trzeba było zweryfikować nasze ambitne zamierzenia. Na szczęście góry nie znikną, jeśli nie zdobędziemy ich wszystkich podczas jednego wyjazdu. A zdrowy rozsądek, jak się miało okazać, przydaje się na szlaku bardziej niż najbardziej szczegółowy plan.

Pierwszego dnia ruszyliśmy z Zverovki w rejon Osobitej, szczytu objętego ochroną przyrodniczą, na który nie prowadzi ogólnodostępny szlak turystyczny. Następnie skierowaliśmy się na Grzesia. Ale dla części ekipy to było zdecydowanie za mało! Nasze „wyścigowe charty” pognały jeszcze na Rakoń! Z grani zeszliśmy do autobusu na Zverovce, gdzie mogliśmy oddać się odpoczynkowi i liczeniu pęcherzy na stopach. Jak zwykle już na starcie okazało się, że apetyt na górskie kilometry nie wszystkim kończy się w tym samym miejscu. Jedni dopiero rozgrzewali nogi, a inni najwyraźniej zdążyli już zaplanować wyrypiastą trasę na kolejny dzień.

Tatry Zachodnie mają nieco łagodniejsze, często trawiaste grzbiety niż ich wysokogórscy sąsiedzi, ale nie oznacza to, że brakuje im charakteru. Ich budowa geologiczna jest bardzo zróżnicowana – obok skał krystalicznych występują wapienie i dolomity, a krajobraz zmienia się wraz z przemierzaniem kolejnych dolin i grani. Wędrując po tym paśmie, można zobaczyć, jak geologia wpływa na wygląd gór: jedne partie są skaliste i surowe, inne łagodniejsze, pokryte trawami i kosodrzewiną.

Tak rozpoczęła się nasza ośmiodniowa przygoda. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, ile razy przyjdzie nam sprawdzać kondycję, cierpliwość, odporność na upał i… własne zamiłowanie do wczesnego wstawania.

Drugiego dnia czekało nas Ohnište w Niżnych Tatrach. Podejście na Stanišovské sedlo zapamiętaliśmy jako prawdziwą „drogę męki” – i chyba nie trzeba tego szerzej wyjaśniać tym, którzy szli z nami! Każdy kolejny fragment trasy przypominał, że góry nie zawsze rozdają widoki za darmo. Czasem trzeba najpierw solidnie zapracować na przyjemność podziwiania krajobrazu.

Nagrodą były jednak piękne widoki i niezwykłe formacje skalne, w tym słynne okno skalne – naturalny otwór w skale, który wygląda tak, jakby ktoś specjalnie wyciął w niej ramę do górskiego obrazu.

Ohnište jest ciekawe również z geologicznego punktu widzenia. Występujące tu wapienie i dolomity łatwo poddają się działaniu wody. Przez tysiące lat powstawały w nich zagłębienia, szczeliny, jaskinie i skalne osobliwości. Woda, choć na co dzień wydaje się łagodna, potrafi cierpliwie wyrzeźbić w skale prawdziwe cuda. Nie potrzebuje młotka ani dłuta – wystarczy jej czas, a tego, jak wiadomo, w geologii nie brakuje.

Niżne Tatry są rozległym pasmem z długim głównym grzbietem, z którego rozciągają się szerokie panoramy. Nie mają tak strzelistych turni jak Tatry Wysokie, ale ich szlaki potrafią porządnie zmęczyć. Nasze nogi mogły się o tym przekonać już drugiego dnia! A przecież dopiero się rozkręcaliśmy…

Trzeciego dnia ruszyliśmy na Chopok i Dziumbier. Ponieważ następnego dnia czekała nas poważna wyprawa na Rysy, postanowiliśmy nieco oszczędzić siły i na Chopok wjechaliśmy kolejką. Niektórzy mogliby powiedzieć, że to pójście na łatwiznę, ale my wolimy określenie „rozsądne gospodarowanie zasobami przed kolejnym wyzwaniem”. W końcu następnego dnia miało się okazać, ile tych zasobów naprawdę nam zostało!

Dalej czekała nas już piesza wędrówka i zdobycie Dziumbiera, który mierzy 2043 m n.p.m. i jest najwyższym szczytem Niżnych Tatr. Pierwszy punkt Wielkiej Trójki został zaliczony! Ale nasze „wyścigowe charty” najwyraźniej uznały, że to jeszcze nie koniec programu. Pognały więc dalej, do schroniska Chata gen. M. R. Štefánika pod Ďumbierom. Widocznie samo zdobycie szczytu nie wystarcza, jeśli można jeszcze dorzucić kilka kilometrów i wizytę w schronisku. Pozostali mogli w tym czasie spokojnie podziwiać widoki i zastanawiać się, skąd tamci biorą tyle energii.

Dziumbier nagradza turystów rozległą panoramą. Przy dobrej pogodzie można dostrzec nie tylko kolejne grzbiety Niżnych Tatr, ale również Tatry Wysokie i Zachodnie. To piękny przykład tego, jak różne pasma Karpat układają się obok siebie, tworząc rozległy górski krajobraz.

Okolica ma także swoją trudną historię. Podczas Słowackiego Powstania Narodowego w 1944 roku oraz późniejszych walk partyzanckich tutejsze góry były świadkami dramatycznych wydarzeń II wojny światowej. Rozległe lasy, doliny i górskie schronienia miały wówczas znaczenie zupełnie inne niż dziś. Wędrując po tych terenach, warto pamiętać, że góry były nie tylko miejscem wypoczynku, lecz także schronieniem i przestrzenią walki o wolność.

Czwartego dnia budzik zadzwonił o trzeciej nad ranem. O tej porze większość ludzi przewraca się na drugi bok, sprawdza godzinę i dochodzi do wniosku, że świat może spokojnie poczekać do rana. Nie my! My wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy do Szczyrbskiego Jeziora (Štrbské Pleso), skąd ruszyliśmy na Rysy.

Wczesny start miał pomóc nam uniknąć największego upału i tłumów. Z pierwszym celem poszło nieźle, z drugim – już zdecydowanie gorzej. Rysy to jeden z najbardziej rozpoznawalnych szczytów Tatr Wysokich, a w sezonie letnim przyciągają turystów z obu stron granicy. Jak się okazało, wczesna pobudka nie daje gwarancji samotności na szlaku. Najwyraźniej podobny pomysł miało

pół Europy!

Rysy mają trzy wierzchołki. Najwyższy, środkowy, mierzy 2501 m n.p.m. i leży w całości po stronie słowackiej. Wierzchołek północno-zachodni ma 2499 m n.p.m.; przebiega przez niego granica państwowa i to właśnie on jest najwyższym punktem Polski. Trzeci, południowo-wschodni wierzchołek, znajduje się po stronie słowackiej i mierzy około 2473 m n.p.m.

Podejście prowadziło po kamiennych ścieżkach, miejscami ubezpieczonych łańcuchami. Do tego niekończący się niemal korowód turystów, w którym trudno było czasem złapać własny rytm. W jednych miejscach czekało się na swoją kolej, w innych należało cierpliwie przepuszczać osoby schodzące. Góry uczyły nas więc nie tylko pokonywania własnych słabości, lecz także sztuki zachowania spokoju w tłumie.

Szansa na Rysy bez tłumów? Można się wybrać w listopadzie, w środę i podczas ulewnego deszczu. Oczywiście pod warunkiem, że warunki pozwolą wtedy na bezpieczną wędrówkę:D Mimo tłumów satysfakcja ze zdobycia szczytu była ogromna. Drugi punkt Wielkiej Trójki mieliśmy zaliczony, a pobudka o trzeciej nad ranem przestała wyglądać na całkowicie szalony pomysł. Przynajmniej do czasu, gdy trzeba było wstać następnego dnia…

Wysokie Tatry zachwycają ostrymi granitowymi szczytami, skalnymi turniami i głębokimi dolinami. Ich obecny wygląd w dużej mierze zawdzięczamy lodowcom, które podczas kolejnych glacjałów żłobiły szerokie doliny o stromych zboczach, pozostawiały moreny i tworzyły kotły polodowcowe. W wielu z nich znajdują się dziś górskie stawy, po słowacku zwane plesami. To dlatego tatrzańskie doliny mają charakterystyczny, często szeroki u wylotu, a wyżej otwierają się na strome skalne ściany i kotły.

Granitowe skały Tatr Wysokich są twarde i odporne na wietrzenie, ale nawet one przez miliony lat ulegały działaniu lodu, wody, mrozu i wiatru. Krajobraz, który dziś podziwiamy, jest efektem bardzo długiej pracy natury.

Piątego dnia wędrowaliśmy wśród skałek nad Doliną Demianowską, przez Sedlo Machnate i Pustą. Przepiękna, widokowa trasa wiodła przez polany i zagajniki porośnięte świerkami i sosnami, wszędzie z ziemui wyrastały wapienne ostańce. Niestety, tego dnia przydarzyło się coś, co przypomniało nam, że góry to nie tylko piękne widoki, satysfakcja z kolejnych kilometrów i żarty opowiadane podczas odpoczynku.

Jedna z naszych koleżanek złamała nogę i konieczne było wezwanie słowackiej Górskiej Służby Ratunkowej – Horskiej záchrannej služby (HZS). Towarzyszyły nam niepokój o koleżankę i podziw dla ratowników, którzy wykazali się ogromnym profesjonalizmem, sprawnością i szybkością działania. W takich chwilach przestaje mieć znaczenie, kto przeszedł najwięcej kilometrów i kto pierwszy dotarł na szczyt. Liczy się człowiek, jego bezpieczeństwo i pomoc, której potrzebuje.

To trudne doświadczenie przypomniało nam, jak ważne są ostrożność, pokora wobec gór i wzajemna troska. Góry potrafią zachwycać, ale wymagają odpowiedzialności. Naszej koleżance życzymy szybkiego powrotu do zdrowia i mamy nadzieję, że wkrótce znów spotkamy się na szlaku!

Tego dnia odwiedziliśmy również Demianowską Jaskinię Wolności (Demänovská jaskyňa slobody), jedną z największych atrakcji przyrodniczych regionu. Słowackie Tatry kryją pod ziemią setki jaskiń i przepaści. Według zestawienia z 2017 roku zinwentaryzowano ich w słowackiej części Tatr 439 – 199 w Tatrach Zachodnich i 240 we Wschodnich, w tym 108 w Tatrach Wysokich oraz 132 w Tatrach Bialskich. Nie wszystkie są dostępne dla turystów, a wiele pozostaje domeną speleologów.



Skąd tyle podziemnych korytarzy? Wapienie i dolomity, powstałe miliony lat temu, rozpuszczają się pod wpływem wody zawierającej dwutlenek węgla. Przez tysiące lat ten proces tworzy szczeliny, korytarze i ogromne komory. W Demianowskiej Jaskini Wolności można podziwiać stalaktyty zwisające ze stropu, stalagmity wyrastające z dna, skalne kolumny i fantazyjne nacieki. Jeśli ktoś zastanawia się, czym różnią się stalaktyty od stalagmitów, podpowiedź jest prosta: jedne zwisają z góry, drugie rosną od dołu. A gdy w końcu się połączą, powstaje kolumna czyli stalagnat – można powiedzieć, że skały też potrafią się spotkać w połowie drogi.

Jaskinię Wolności odkryto w 1921 roku, a udostępnienie jej turystom stało się ważnym etapem rozwoju turystyki w Dolinie Demianowskiej. Podziemne korytarze, nacieki i jeziorka pokazują, że góry mają swoje tajemnice nie tylko na szczytach, lecz także głęboko pod naszymi stopami. Warto pamiętać, że w jaskini procesy przyrodnicze nadal trwają, choć przebiegają tak powoli, że są niezauważalne nawet dla wielu pokoleń ludzkich.
Cały system Demianowskich Jaskiń ma ponad 35 kilometrów poznanych korytarzy. To prawdziwe podziemne miasto, którego nie da się zobaczyć podczas jednej wycieczki. I dobrze, bo byłby to chyba jedyny szlak, na którym nawet nasze „wyścigowe charty” musiałyby uznać, że nie wszystko da się zdobyć za jednym razem :D

Szóstego dnia poniosło nas do Raju, oczywiście Słowackiego! Wąwóz Piecky poprowadził nas przez skalne progi, obok wodospadów i po metalowych drabinkach, dzięki którym zwykła wędrówka zamienia się w prawdziwą przygodę. Tutaj nie wystarczy patrzeć pod nogi – czasem trzeba również spojrzeć w górę i sprawdzić, co czeka nas za następnym zakrętem. Przydaje się też pewna ręka, stabilny krok i zaufanie do własnych umiejętności. A jeśli ktoś uważa, że drabina służy wyłącznie do wieszania firanek, Słowacki Raj szybko zmieni jego zdanie!

Słowacki Raj jest w dużej mierze zbudowany z wapieni i ma charakter płaskowyżu krasowego. Woda spływająca z wyżej położonych terenów przez tysiące lat wcinała się w skały, tworząc głębokie, wąskie wąwozy, skalne ściany i wodospady. W niektórych miejscach szlak prowadzi niemal korytem potoku, a naturalne progi pokonuje się przy pomocy drabin, stopni i kładek. To właśnie połączenie dzikiej przyrody z technicznymi ułatwieniami sprawia, że wędrówki w Słowackim Raju są tak wyjątkowe.

Woda jest tu prawdziwą architektką krajobrazu - przez tysiące lat rozpuszcza skały, pogłębia szczeliny i stopniowo tworzy wąskie przejścia. Kiedy patrzy się na strome ściany wąwozu, trudno uwierzyć, że ich kształt jest efektem działania miękkiej wszak wody. Natura nie potrzebuje koparki ani młota pneumatycznego. Wystarczy jej czas i odrobina cierpliwości, której nam czasem brakuje już po pierwszym stromym podejściu.

Naszym celem było Kláštorisko – miejsce związane z kartuzami, którzy założyli tu klasztor na przełomie XIII i XIV wieku. Ruiny przypominają, że nawet w tak dzikim, pozornie niedostępnym zakątku gór rozwijało się niegdyś życie religijne. Dziś Słowacki Raj jest jednym z najciekawszych terenów turystycznych Słowacji, a jego wąwozy dostarczają wrażeń, których nie zastąpi żaden zwyczajny spacer.

Po takiej trasie można zrozumieć, dlaczego Słowacki Raj jest rajem dla miłośników przygód, choć niekoniecznie dla tych, którzy marzą o spacerze bez przeszkód. Tutaj nawet zwykłe przejście z punktu A do punktu B potrafi zamienić się w mały test sprawności. Na szczęście właśnie takie miejsca zapamiętuje się najdłużej!

Siódmego dnia zmieniliśmy nieco klimat i ruszyliśmy w Góry Choczańskie. Naszym celem był Liptowski Zamek (Liptovský hrad), a właściwie to, co pozostało z dawnej warowni. Ruiny znajdują się na wysokości około 993 m n.p.m., na skalistym wzgórzu Sestrč. Zamek uchodzi za najwyżej położony zamek na Słowacji. Strzegł ważnego szlaku łączącego Liptów z Orawą, a jego położenie pozwalało kontrolować rozległą okolicę. Dziś pozostałości murów i rozległe widoki pozwalają wyobrazić sobie strategiczne znaczenie tego miejsca.

Z zamkami bywa tak, że z daleka wyglądają romantycznie, a z bliska przypominają, że ich dawni mieszkańcy nie mieli do dyspozycji wygodnych dróg dojazdowych, samochodów ani kolejki na szczyt. Za to musieli mieć niezłą kondycję! I na pewno nie mieli wygodnej, stalowej drabinki, która pomogła się nam wspiąć na sam szczyt. Samo położenie warowni pokazuje, jak ważne było kiedyś kontrolowanie szlaków i jak wiele wysiłku wymagało dotarcie do miejsc, które miały zapewniać bezpieczeństwo.

Po zejściu do Kalamien czekała na nas zupełnie inna atrakcja – kąpiel w naturalnym termalnym stawie. Ciepła woda nie jest tu zasługą słońca: pochodzi z głębi ziemi i wydostaje się na powierzchnię dzięki odwiertowi. Jej temperatura wynosi około 33°C, więc kąpiel na świeżym powietrzu to prawdziwa przyjemność po górskiej wędrówce. Po kilku dniach stromych podejść i kamienistych ścieżek możliwość zanurzenia zmęczonych nóg w ciepłej wodzie była wyjątkowo kusząca. Można powiedzieć, że geologia tym razem zadbała o nasze mięśnie!



Na zakończenie odwiedziliśmy Lúčky, znane z uzdrowiska rozwijającego się od XVIII wieku oraz malowniczego wodospadu położonego niemal w centrum miejscowości. Woda pozostawiła tu osady trawertynowe, tworząc charakterystyczne formy skalne. Trawertyn powstaje, gdy z wody wytrąca się węglan wapnia, stopniowo budujący kolejne warstwy skały. To kolejny przykład na to, jak różnorodne oblicza ma woda – raz drąży jaskinie, innym razem rzeźbi wąwozy, a gdzie indziej buduje nowe formy skalne.

Ósmego, ostatniego dnia, ruszyliśmy z Habovki przez Skorušinę do Oravic. Było zielono, spokojnie i wyjątkowo smakowicie – szlak obfitował w maliny i borówki, którym trudno było się oprzeć. Czasem górska wędrówka wymaga nie tylko dobrej kondycji, ale też umiejętności rozpoznawania, kiedy należy zrobić przerwę na leśne owoce. A przecież nie można zostawić całego dobra lasu innym turystom…

Po tygodniu pełnym podejść, kamienistych ścieżek, łańcuchów i drabinek ta trasa była miłym zakończeniem wyprawy. Nie znaczy to oczywiście, że nogi nagle zapomniały o przebytych kilometrach, ale perspektywa spaceru przez las i smak świeżych owoców potrafią zdziałać cuda. Niektórzy zapewne uznali, że to właśnie jagody były najlepszym punktem programu.

W okolicach Oravic wykorzystuje się wody geotermalne, które stały się jedną z atrakcji turystycznych regionu. Woda ogrzewana we wnętrzu Ziemi wydostaje się na powierzchnię, przypominając nam, że pod spokojnym górskim krajobrazem zachodzą procesy, których na co dzień nie widzimy.

I tak dobiegła końca nasza ośmiodniowa przygoda. Zostały ostatnie spojrzenia na góry, ostatnie zdjęcia i powoli narastająca myśl, że jutro nie trzeba już będzie nastawiać budzika na trzecią rano. Chociaż znając życie, za jakiś czas znów ktoś rzuci hasło: „A może by tak gdzieś pojechać?”.

Osiem dni, mnóstwo kilometrów, dwa zdobyte szczyty Wielkiej Trójki, górskie grzbiety, skalne okno, jaskinia, wąwóz, zamkowe ruiny i termalne źródła. Na Bystrą nie weszliśmy – przy tak niemiłosiernych upałach wędrówka odkrytą granią byłaby zwyczajnym masochizmem. I bardzo dobrze! Góry nigdzie nie uciekną, a rozsądek zawsze powinien być ważniejszy niż realizacja planu

za wszelką cenę. Czasem największym sukcesem wyprawy jest nie kolejny zdobyty szczyt, lecz dobra decyzja podjęta we właściwym momencie.

Ta wyprawa przypomniała nam również, jak niezwykłe są góry i jak wiele można w nich odkryć. Granitowe turnie Tatr Wysokich, zróżnicowane grzbiety Tatr Zachodnich, wapienne skały i podziemne korytarze, wąwozy Słowackiego Raju, ruiny średniowiecznej warowni oraz ciepłe źródła Liptowa – wszystko to pokazuje, jak wiele milionów lat historii zapisanych jest w krajobrazie, który dziś podziwiamy podczas wędrówek.

Geologia uczy cierpliwości: skały powstawały miliony lat, lodowce rzeźbiły doliny, a woda powoli drążyła jaskinie i wąwozy. My przez osiem dni próbowaliśmy poznać choć niewielki fragment tego świata. I choć nie udało się zrealizować całego planu, wróciliśmy bogatsi o nowe doświadczenia, wiedzę, zdjęcia i wspomnienia, do których jeszcze nieraz będziemy wracać podczas klubowych spotkań.

Najważniejsze jednak, że znów mogliśmy wspólnie wędrować, poznawać nowe miejsca, cieszyć się swoim towarzystwem i przeżywać zarówno radosne, jak i trudniejsze chwile. Były śmiechy, zmęczenie, podziw dla przyrody, odrobina narzekania na podejścia i zapewne niejedno pytanie: „Daleko jeszcze?”. Były też chwile, w których szczególnie mocno poczuliśmy, jak ważna jest obecność drugiego człowieka.

Bo SKALNIK to nie tylko zdobyte szczyty, pokonane kilometry i rekordy prędkości naszych „wyścigowych chartów”. To przede wszystkim ludzie, którzy tworzą zgrany zespół, potrafią na siebie poczekać, wspierać się w trudniejszych chwilach i cieszyć się z małych rzeczy – pięknego widoku, dobrej kolacji, jagód na szlaku czy chwili odpoczynku po wymagającej trasie.

A słowackie góry? Już czekają na naszą kolejną wizytę! Tylko może następnym razem zamówimy nieco chłodniejszą pogodę… i sprawdzimy, czy nasze „charty” potrafią choć jeden dzień chodzić bez dokładania sobie kolejnych kilometrów.